

# HISTORYA KOSZTOWNEGO DYADEMU

Napisal  
Conan Doyle



NAKŁADEM I DRUKIEM  
POLISH AMERICAN PUBLISHING COMPANY  
1163 MILWAUKEE AVE., CHICAGO, ILL.

CONAN DOYLE.



HISTORYA  
KOSZTOWNEGO  
DYADEMU.



NAKLADEM I DRUKIEM  
POLISH AMERICAN PUBLISHING CO.  
1163 MILWAUKEE AVENUE  
CHICAGO, ILL.



Wiesz co, Holmesie — rzekłem pewnego rana, wyglądając przez okno na ulicę — oto idzie jakiś waryat; nie powinni byli puszcząć go tak samego.

Holmes podniósł się leniwo z fotelu; i trzymając ręce w kieszeniach szlafroku, przystąpił do okna i przez moje ramiona wyjrzał na ulicę.

Był to jasny, mroźny dzień lutowy. Poprzedniego dnia spadł obfity śnieg i pokrył grubą warstwą ziemię, lśniąc brylantowymi blaskami w słońcu zimowym. Skutkiem ożywionego ruchu tworzył on już w środku ulicy brunatną masę, po bokach jednak i na podwyższonych brzegach trotuarów leżał tak czysty i biały, jak upadł. Bruk zamieciony i zeszkrobany był jeszcze tak gładki i ślizki, że niebezpiecznie było chodzić po nim; to też ruch był tu dziś mniejszy, niż za-



zwyczaj. Właściwie jedynym przechodniem w tej chwili był ów mężczyzna, którego osobliwe zachowanie się zwróciło moją uwagę. Nadchodził on od strony dworca Metropolitan. Był to człowieka może pięćdziesięcioletni, wysoki i okazały, o szerokiej, surowej twarzy. Ubranie miał ciemne, wykwintne: czarny surdut, lśniący, jedwabny kapelusz, eleganckie szare kamasze i spodnie koloru perłowego o wytwornym kroju. Ogromne przeciwieństwo do tego zewnętrznego wyglądu stanowiło jego zachowanie się; biegł on bowiem z największym pośpiechem, podskakując od czasu do czasu tak, jak to czynią zwykle ludzie, nieprzyzwyczajeni do częstego chodzenia. Wywijał przytem rękami, kiwał głową i najdziwaczniej wykrzywił swą twarz.

— Cóż mu się stało? — zapytałem. Spogląda na numery domów.

— Sądzę, że idzie on do nas — odparł Holmes, zacierając ręce.

— Do nas?

— Tak; jestem prawie pewny, że ma zamiar zasięgnąć mojej rady; wygląda na to zupełnie. Otóż czy nie mówiłem?

Istotnie człowiek ów, sapiący i dyszący, rzucił się ku drzwiom naszego mieszkania i tak mocno pociągnął za dzwonek, że dźwięk jego rozległ się w całym domu.

Za chwilę był już w pokoju i, ciągle jeszcze sapiąc i dysząc, wywijał rękami. W twarzy jego spostrzegliśmy jednak wyraz takiej rozpacz i zmartwienia, że nasza niepohamowana wesołość zmieniła się wnet w uczucie przerażenia i współczucia. Przez jakiś czas nie mógł on wymówić ani słowa; chwiał się tylko na wszystkie strony, rwał włosy, słowem — wyglądał tak, jak gdyby był blizkim utraty zmysłów. Holmes posadził go na fotelu, sam usiadł obok i, wzięwszy go za rękę, począł przemawiać spokojnie i wesoło, jak to tylko on potrafił.

— Szukał mnie pan, aby mi opowiedzieć swoje zmartwienie, nieprawdaż? — zaczął. Szybki chód zmęczył pana. Proszę, niech pan trochę wypocznie, a potem sprawi mi pan wielką przyjemność, opowiadając mi wypadek, o który chodzi.

Jedną lub dwie minuty siedział jeszcze ów nieznajomy, dysząc ciężko i walcząc ze swoim wzruszeniem. Wreszcie otarł chust-

ką czoło i, przestawszy już sapać, zwrócił się do nas.

— Zapewne uważacie mnie panowie za waryata? zaczął.

— O ile widzę, spotkało pana wielkie zmartwienie — odparł Holmes.

— Jeden Bóg tylko wie, jak straszne! — Wszystko to jest tak okropne i stało się tak nagle, że chyba rozum stracę. Hańbę publiczną mógłbym może znieść, chociaż dotąd nazwisko moje było bez plamy; troski w prywatnem życiu mają wszyscy; ale żeby to i tamto spadło na mnie równocześnie w tak straszny sposób, tego spokojnie znieść nie mogę. Nadto sprawa ta dotyczy nietylko mnie samego. Jeżeli nie znajdzie się jaka droga ratunku w tej okropnej historyi, może przez to uciepieć także jedna z najwyżej postawionych osobistości naszego państwa.

— Proszę — niech się pan uspokoi. — odrzekł Holmes, i opowie mi, kto pan jest i co pana spotkało.

— Nazwisko moje — rzekł przybyły — słyszał już pan może. Jestem Aleksander Holder, współwłaściciel firmy bankierskiej Holder et Stevenson na ulicy Threadneedle.

Nazwisko to było nam istotnie znane. Nosił je starszy wspólnik prywatnego banku na City; instytucya ta zajmowała drugie miejsce wśród innych banków londyńskich. Cóż to takiego się stało, że jeden z najznakomitszych obywateli Londynu znalazł się w tak opłakanem położeniu? W najwyższem naprężeniu ciekawości oczekiwaliśmy opowiadania naszego gościa, który tymczasem przyszedł do siebie.

— Czuję — zaczął — że w tej sprawie czas jest drogi. Dlatego też wybrałem się tutaj natychmiast, gdy tylko inspektor policyi dał mi do zrozumienia, że będzie bardzo korzystną rzeczą, zapewnić sobie pańskie współdziałanie w tej sprawie. Przyjechałem koleją podziemną, ale przez Bakerstreet musiałem iść pieszo, gdy doróżki po tym śniegu tak się wloką! Z tego powodu byłem prawie bez tchu. Mało ruchu używam za zwyczaj. Teraz już mi lepiej, opowiem więc możliwie najkrócej i najjaśniej wszystkie fakta.

Z pewnością panu wiadomo, że przy tak zmiennym interesie jak bank, chodzi nie tylko o przynoszące dochód kapitały, lecz

również o ciągle rozszerzanie stosunków i ściąganie największej ilości depozytaryuszy. Do najkorzystniejszych interesów należy udzielanie pożyczek na pewne zastawy. W ostatnich latach pożyczaliśmy w ten sposób znaczne sumy różnym znakomitym rodzinom, biorąc w zastaw ich zbiory obrazów, biblioteki, srebra itp.

Gdy wczoraj po południu siedziałem w biurze, przyniósł mi jeden z naszych służących bilet. Po przeczytaniu nazwiska omal nie skamieniałem ze zdziwienia, gdyż był to — ale nawet wobec pana wolę zachować tajemnicę i mogę tylko powiedzieć, że nazwisko tego człowieka jest znane wszędzie i należy do jednej z najwyższych, najznakomitszych i najslawniejszych osobistości w Anglii. Przejęty uszanowaniem usiłowałem przy wejściu tego pana powiedzieć słów parę, któreby odmalowały moje uczucie, on jednak przystąpił zaraz do swego interesu, jak gdyby pragnął jak najprędzej pozbyć się jakiejś nieprzyjemnej dla siebie sprawy.

— Panie Holder — zaczął — słyszałem, że udziela pan pożyczek na zastawy.

— Rzeczywiście, ale na dobre zastawy — odpowiedziałem.

— Potrzebuję natychmiast koniecznie pięćdziesiąt tysięcy funtów. Mógłbym naturalnie tę drobną sumę wypożyczyć u swoich znajomych, jednak uważam, że lepiej będzie załatwić tę sprawę w kupiecki sposób. Przy mojem stanowisku byłoby rzeczą niemądrą — jak to zresztą łatwo sam pan zrozumie — spuścić się w tej sprawie na obce pośrednictwo, dlatego też przybyłem tutaj osobiście.

— Czy mogę się zapytać, na jak długo potrzebuje pan tych pieniędzy?

— W najbliższy poniedziałek otrzymam znaczniejszą kwotę, wtedy więc zwrócę panu niezawodnie zaliczkę i procent, jaki sobie pan od niej policzy. Głównie zależy mi na tem, aby natychmiast otrzymać pieniądze.

— Sprawiłoby mi największą przyjemność, gdybym mógł panu dać natychmiast z własnej kieszeni tę sumę, ale przechodzi to moją możność. Jeżeli zaś uczynię to z ramienia firmy to ze względu na mojego współnika będę musiał zażądać od pana zastosowania się do przepisów naszego banku.

— Wolę to — rzekł, biorąc do ręki czarne, safianowe, czworoboczne etui, które poprzednio położył na krześle. Słyszał pan zapewne o berylowym dyademie?

— O jednym z najkosztowniejszych naszych klejnotów? zapytałem.

— Tak.

To mówiąc otworzył etui. W niem na aksamicie cielistej barwy leżał kosztowny klejnot.

— Jest tu trzydzieści dziewięć beryłów nadzwyczajnej wielkości, a także wartość złotej oprawy jest ogromna. Klejnot ten, oszacowany jak najniżej, miałby jeszcze dwa razy większą wartość od kwoty, której żądam. Podał mi etui, ja zaś z pewnem pomieszaniem spojrziałem najpierw do jego wnętrza, a następnie na mojego znakomitego gościa.

— Czy ma pan jaką wątpliwość co do wartości dyademu? — zapytał.

— Bynajmniej, wątpię tylko.

— Czy mam prawo do tego zastawu. Może pan jednak być spokojnym. Nie przyszłoby mi na myśl zastawiać go, gdybym

nie miał pewności, że za cztery dni będę mógł wykupić dyadem. Czy panu to wystarczy.

— Zupełnie.

— Widzi pan, jak bardzo panu ufam, skoro po wszystkim, co od pana usłyszałem, zwracam się do niego w tej sprawie. Ufam również, że pan zachowa w tajemnicy naszą dzisiejszą rozmowę i że ukryje pan z wszelką możliwą przezornością ten klejnot, gdyż najdrobniejsza nieostrożność mogłaby wywołać ogromny skandal publiczny. Uszkodzenie dyademu byłoby prawie tak złem, jak zupełna jego strata, gdyż na całej ziemi nie ma podobnych beryłów, a zatem nie można by zastąpić ich nowymi. Mimo tego zostawiam panu klejnot z całym zaufaniem i w poniedziałek po południu zgłoszę się po niego osobiście.

Widząc, że mojemu gościowi zależy na pośpiechu, nie rzekłem już ani słowa, lecz poleciłem kasyerowi, aby natychmiast wypłacił żadaną kwotę. Gdy jednak zostałem znowu sam i spojrziałem na stojące na stole etui, ogarnęło mnie niemiłe uczucie niezadowolonia, że wziąłem na siebie tak ogromną odpowiedzialność. Ponieważ klejnot nale-

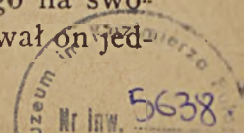
żał do skarbcza królewskiego, przeto najmniejsza nieostrożność mogłaby istotnie sprowadzić straszne skutki. Żałowałem, że go przyjąłem. Ale niestety było już zapóźno, aby zmienić postać rzeczy. Zamknąłem więc dyadem do kasy bezpieczeństwa i zająłem się interesami. Gdy nadszedł wieczór, pomyślałem, że byłoby to może nieostrożnością z mej strony, zostawiać w biurze tak drogocenny przedmiot. Kasy bankowe mimo swoich urządzeń zabezpieczających przed złodziejami bywały przecież tak często rozbijane! Gdyby stało się to z moją? W jakim okropnem położeniu znalazłbym się wtedy? Postanowiłem przeto do poniedziałku nie rozstawać się ani na chwilę ze szkatułką. Z tą myślą pojechałem do domu na Streatham, wzięwszy z sobą klejnot. Odetchnąłem spokojnie dopiero wtedy, gdy umieściłem go w biurku, stojącym w mojej ubieralni.

A teraz chciałbym panu powiedzieć kilka słów o mojem gospodarstwie, aby pan mógł mieć dokładne wyobrażenie o stanie rzeczy. Stangret i lokaj sypiają po za domem, ich osoby można więc zupełnie w tej

sprawie pominąć. Trzy służące są już u mnie od paru lat i ich sprawowanie się jest bez zarzutu. Jest jednak jeszcze jedna pokojówka, Lucy Parr, która służy dopiero od kilku miesięcy; ta przyniosła świadectwa znakomite, a ja byłem również z niej zadowolony. Jest ona bardzo ładna i ma z tego powodu mnóstwo wielbicieli, którzy się często koło domu kręcą. To byłby jedyny zarzut przeciw niej, zresztą jednak uważamy ją za nawskroś uczciwą dziewczynę.

Tyle co do służby. Grono mojej rodziny tak szczupłe, że opowiadanie o niem nie zajmie wiele czasu. Jestem wdowcem i mam jedynego syna Artura. Ten zawiódł moje nadzieje, zawiódł boleśnie! Jest w tem po części i moja wina. Mówią, że go rozpieściłem, co też jest może prawdą. Gdy straciłem żonę, przelałem na niego całą swą miłość. Nie mogłem znosić najłżejszej chmurki na jego twarzy. Nie odmówiłem nigdy żadnemu jego życzeniu. Może byłoby dla nas obu lepiej, gdybym był okazywał trochę surowości.

Miałem zamiar wykształcić go na swego następcę w banku, nie okazywał on jed-





na najmniejszego pociągu do zawodu kupieckiego. Był kapryśny i gniewliwy i — prawdę powiedziawszy — nie mógłbym mu nigdy powierzyć do rozporządzania większych sum. Jako bardzo młody chłopak wstąpił do pewnego magnackiego klubu i tam zaprzyjaźnił się z ludźmi, którzy mieli pełne sakiewki i kosztowne przyzwyczajenia. Wnet nauczył się po mistrzowsku tracić pieniądze na karty i wyścigi tak, że zwykle nie wystarczały mu pieniądze wydzielane przezemnie, lecz brał zaliczkę lub zmuszał mnie do płacenia jego długów honorowych. Kilka razy próbowałem wyrwać go z tego niebezpiecznego towarzystwa, ale zawsze wracał tam pod wpływem swego przyjaciela sir Jerzego Burnwell'a.

Wcale się nie dziwię, że taki człowiek, jak sir Jerzy Burnwell wywiera wpływ na mojego syna. Bywał on u nas często i muszę wyznać, że sam ledwo byłem w stanie oprzeć się jego urokowi. Jest on starszy od Artura, skończony światowiec, który wszędzie był i wszystko widział; przytem jest doskonałym mówcą i uderzająco pięknym mężczyzną. A jednak, gdy myślę o nim z zimną

krwią i nie pod urokiem jego obecności, gdy przypomnę sobie jego cyniczne słowa i spojrzenia, jakie często u niego zauważyłem, to czuję, że jest on osobistością, która wcale nie zasługuje na zaufanie. Zgadza się wtem ze mną także moja mała Mary, która posiada prawdziwie kobiecą bystrość w poznawaniu serc ludzkich.

Mary jest moją synowicą i o niej tylko mam jeszcze panu opowiadać. Gdy przed pięcioma laty umarł mój brat i zostawił Mary samą, wziąłem ją za swoją i uważałem zawsze za własną córkę. Jest ona promykiem słońca w moim domu; jest miłą, dobrą i piękną; gospodaruje znakomicie, a przytem jest tak łagodną, spokojną i rozsądną jak może żadna inna kobieta. Jest moją prawą ręką; nie pojmuje, co począłbym bez niej. Pod jednym tylko względem zawiodła ona moje pragnienia. Artur oświadczył się jej już dwa razy, bo kocha ją szczerze, Mary jednak odmawia mu stanowczo swej ręki. Jestem przekonany, że tylko ona jedna potrafiłaby wprowadzić go na dobrą drogę; przy jej boku rozpocząłby może nowe życie, ale

niestety; teraz już zapóźno; — teraz już wszystko na zawsze stracone!

A więc zna pan już wszystkie osoby, żyjące w moim domu i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko opowiedzieć panu właściwe nieszczęście.

Przy wieczornej kawie opowiedziałem Arturowi i Mary, co mi się dzisiaj w biurze przytrafiło i jaki kosztowny klejnot mamy pod naszym dachem; nie wymieniłem tylko nazwiska zastawcy. Wiem na pewno, że Lucy Parr, która przyniosła nam kawę, nie była wtedy w pokoju; niemógłbym jednak przysięgać, czy drzwi były zamknięte. Opowiadanie moje zaciekało Mary i Artura i oboje pragnęli bardzo zobaczyć ten klejnot. Ja jednak uznałem za stosowniejsze nie pokazywać im go wcale.

— Gdzież go ojciec schował? zapytał Artur.

— Do biurka.

— Spodziewam się, że chyba dziś w nocy nikt nie wtargnie do naszego domu — mówił dalej.

— Biurko jest przecież zamknięte.

— O, do niego nada się każdy inny klucz. Sam otwierałem go jeszcze jako mały chłopiec kluczem od bufetu.

Syn mój często żartował w ten sposób, nie zwracałem więc wiele uwagi na jego słowa.

Tego samego wieczoru przyszedł do mojego pokoju Artur, i nie patrząc mi w oczy, rzekł poważnie:

— Czy mógłby mi ojciec dać dwieście funtów?

— Nie, stanowczo nie! — odpowiedziałem ostro. W sprawach pieniężnych byłem już dla ciebie nadto pobłażliwy.

— Byłeś dla mnie rzeczywiście bardzo dobrym, ojcze — odparł — jednak tę sumę muszę mieć koniecznie; inaczej nie mógłbym się pokazać więcej w klubie.

— Byłoby to prawdziwym szczęściem! zawołałem.

— Tak; ale chyba ojciec nie chce, abym odchodził shańbiony i zelżony. Nie zniósłbym takiego wstydu. Muszę te pieniądze skąd wydobyć; jeżeli więc ojciec mi ich nie da, spróbuję innych środków i dróg.

Byłem ogromnie oburzony, gdyż już po raz trzeci w tym miesiącu żądał pieniędzy.— Nie dam ci już ani szeląga! — zawołałem. Wówczas Artur skłonił mi się i, nie powiedziawszy już ani słowa, wyszedł z pokoju.

Gdy zostałem sam, otworzyłem biurko, a przekonawszy się, że klejnot leży w niem nienaruszony, zamknąłem je napowrót. Następnie obszedłem w około dom, aby się przekonać, czy wszystko dobrze pozamykane. Czynność ta należała zawsze do Mary, dziś jednak wolałem sam ją wykonać. Gdy stanąłem na dole, przy schodach, spostrzegłem Mary, która stała przy bocznem oknie korytarza, a gdy się zbliżyłem, zamknęła je i zasunęła.

— Powiedz mi, tato — zapytała nieco zmieszana, — czy pozwoliłeś dzisiaj wieczorem wyjść z domu Lucy, naszej pokojowej?

— Ależ nie.

— Wysłała właśnie przez tylne drzwi. Jestem pewna, że przy furtce spotkała się z kimś; i to uważam za niebezpieczne i nie powinniśmy pozwalać jej na wyjścia.

— Musisz z nią rozmówić się jutro, albo

— jeżeli wolisz — pozostaw to mnie. Czy wszystko dobrze pozamykane?

— Zupełnie dobrze, ojczulku!

— Zatem dobra noc! — Pocałowałem ją i oddaliłem się do sypialni, gdzie wkrótce potem zasnąłem.

Staram się, panie Holmes, nie pomijać niczego, co by mogło mieć znaczenie w tej sprawie. Gdyby opowiadanie moje wydawało się panu niezupełnie dokładne, to proszę zadawać mi pytania ze swej strony.

— Opowiada pan nadzwyczaj jasno.

— Dochodzę teraz do tego punktu historyi, na który chciałbym zwrócić szczególną uwagę pana.

Nigdy nie śpiam twardo, tembardziej więc tej nocy, miałem tyle powodów do niepokoju. Około drugiej godziny nad ranem obudził mnie lekki szmer w domu. Ustał on właśnie w tej chwili, gdy zupełnie już byłem zbudzony; miałem jednak wrażenie, jakgdyby gdzieś w domu zamykano okno. Natężywszy słuch, leżałem cicho dalej. Nagle— ku mojemu ogromnemu przerażeniu, usłyszałem w sąsiednim pokoju jakieś kroki, ciche, lecz bardzo wyraźne. Drżący z trwogi

wyskoczyłem z łóżka i rzuciłem się do drzwi ubieralni.

— Artur! — krzyknąłem. — Nędzniku, złodzieju! Jak się poważylesz ruszać klejnot!

Lampa gazowa była przykręcona do polowy, tak jak ją zostawiłem, idąc spać, a mój nieszczęsny chłopak, w koszuli i w spodniach stał przy niej, trzymając w ręku dyadem. Zdawało mi się, że go gniew i naciąga z całej siły. Na mój okrzyk Artur wypuścił z rąk klejnot i zbladł śmiertelnie. Podjąłem z podłogi dyadem i oglądałem go. Brakowało jednego zęba, ozdobionego trzema berylamami.

— Łajdaku! — krzyknąłem z wściekłością. — Złamałeś go! Okryłeś mnie w ten sposób wieczną hańbą! Gdzie są kamienie, które skradłeś?

— Skradłem? zawołał.

— Tak złodzieju! krzyczałem, wstrząsając z całej siły jego ramionami.

— Nie brakuje przecież żadnego. Nie może nic brakować — odpowiedział.

— Brakuje trzech. Wiesz dobrze, gdzie są. Czyż nie dość, że jesteś złodziejem; chcesz jeszcze, abym cię musiał nazwać kłamcą? Czy nie widziałem na własne oczy,

jak usiłowałeś odłamać jeszcze jeden kawałek.

— Już dość tych obelg, ojcie — odpowiedział — nie pozwolę znieważać się dalej. Już ani jedno słowo w tej sprawie nie wyjdzie z moich ust, skoro obszedłeś się ze mną, jak z jakim nikczemnikiem. Zaraz rano opuszczę ten dom i postaram się sam iść przez życie.

— Policja zabierze się do tej sprawy — zawołałem na wpół oszalały ze zmartwienia i gniewu. Zbada ona wszystko dokładnie.

— Odemnie niczego się nie dowiecie — odparł z namiętnością, o jaką nigdybym go nie posądził. — Jeżeli się ojcu podoba zawołać policję — dobrze — zobaczymy, co odkryje.

Tymczasem pobudzili się wszyscy w domu, gdyż w gniewie wcale nie tłumiliem swojego głosu. Najpierw przyszła Mary. Jedno spojrzenie na klejnot i twarz Artura odkryło jej wszystko. Z krzykiem padła zemdlna na ziemię. Posłałem służącą na policję, chcąc bezzwłocznie oddać dalsze śledztwo w jej ręce. Gdy przybył inspektor z policjantem, zapytał mnie Artur, który przez cały

czas stał ponury z założonemi rękami, czy istotnie oskarżam go o kradzież. Oświadczyłem mu, że sprawa ta już nie jest rzeczą prywatną, lecz przestępstwem publicznem, gdyż uszkodzony klejnot należy do skarbu państwa. Oświadczyłem również, że jestem gotów pozostawić całą sprawę jej naturalnemu biegowi.

— To może przynajmniej zechciałby ojciec nie upierać się przy natychmiastowem uwięzieniu mnie. Dla nas obu byłoby lepiej, gdybym mógł na pięć minut wyjść z domu.

— Aby uciec lub schować swój łup — odpowiedziałem. Następnie przedstawiłem mu straszne położenie, w jakie mnie wtrącił; błagałem go, aby rozważył, że nie tylko mój honor jest zagrożony, lecz także pewnej bardzo wysokiej osobistości; że postępkami swoim wywołał skandal, który oburzy cały naród. Wszystko to dałoby się jeszcze odwrócić, gdyby powiedział, co zrobił z trzema brakującymi kamieniami.

— Zostałeś przecież schwytyany na gorącym uczynku — mówiłem dalej — napraw więc sprawę przynajmniej o tyle, o ile to

jest w twojej mocy; powiedz gdzie są kamienie, a wszystko ci przebaczę i zapomnę.

— Niech ojciec zachowa swe przebaczenie dla tych, którzy go o to proszą — odpowiedział szydlerczo i odwrócił się odemnie. Widząc, że na wszystkie namowy milczy uparcie, zawołałem inspektora i kazałem Artura uwięzić, gdyż nie miałem do wyboru innej drogi. Natychmiast zrobiono rewizję nie tylko koło Artura, lecz także w jego pokoju i w całym domu, nie znaleziono jednak nawet śladu kamieni, a z niegodziwego chłopaka nie wydobyto ani prośbami ani groźbami nawet jednego słowa.

Dziś wczesnym rano odprowadzono go do więzienia, a po załatwieniu policyjnych formalności, natychmiast tutaj przybyłem z gorącą prośbą do pana, aby zechciał zająć się wyjaśnieniem tej sprawy. Na policyi dano mi wyraźnie do zrozumienia, że trudno będzie na razie dać sobie z tem wszystkim radę. Proszę się nie liczyć z żadnymi kosztami. Oznaczyłem już wynagrodzenie w wysokości tysiąca funtów. Mój Boże, co ja pocznę? W przeciągu jednej nocy straciłem kamienie i syna! Ach, co ja pocznę!

Chwył się oboma rękami za głowę i jęczał jak dziecko, które nie umie inaczej wyrazić swego bólu.

Holmes siedział przez kilka minut w milczeniu i ściągnawszy brwi, patrzył martwo w ogień na kominku.

— Czy pan przyjmował u siebie towarzystwo? — zapytał w końcu.

— Nikogo prócz mojego współnika i jego rodziny, jakoteż owego przyjaciela Artura. Sir Jerzy Burnwell bywał u nas często w ostatnich czasach. Zresztą, nikt więcej.

— A czy panowie bywają gdzie?

— Artur bywa; ja zaś i Mary wolimy zostać zawsze w domu.

— To uderzające u młodego dziewczęcia.

— Jest to spokojna, skromna istota. Zresztą nie jest ona znowu tak bardzo młodziutką. Ma lat dwadzieścia cztery.

— Zdarzenie, o którym nam pan opowiedział, dotknęło ją zdaje się bardzo ciężko.

— Okropnie. Jest może nawet bardziej przygnębiona, niż ja sam.

— Więc oboje państwo nie wątpicie w winę pana Artura?

— Jakżeż mogłoby być inaczej, skoro na własne oczy widziałem klejnot w jego rękach.

— Ja zaś nie uważam tego za dowód wystarczający. Czy reszta dyademu była uszkodzona?

— Tak, był on cały pogięty.

— Czy nie sądzi pan, że może syn próbował go naprawić.

— Niech panu Bóg nagrodi tę chęć uniewinnienia mojego syna. Jak widzę, czyni pan, co może, aby przekonać mnie o jego niewinności ale jest to ponad siły pańskie. Cóżby więc robił z klejnotem? Jeżeli zresztą jego zamiary były czyste, dlaczego tego nie powiedział?

— Słusznie. Gdyby jednak był winnym, dlaczego by nie uciekł się do kłamstwa? Sądzę, że jego milczenie można dwojako tłumaczyć. Całe zdarzenie przedstawia kilka osobliwych punktów. Jak wyjaśniła policja szmer, który pana obudził?

— Sądzę, że było to otwieranie drzwi od sypialni Artura.

— Nadzwyczaj podobne do prawdy! Jak gdyby to człowiek, który zabiera się do popełnienia zbrodni zamykał drzwi za sobą tak głośno, że cały dom może tem zbudzić! A co myślą o zniknięciu kamieni!

— Przeszukują jeszcze podłogi i sprzęty i mają nadzieję tam je znaleźć.

— A czy pomyślano o tem, aby przeszukać dom na zewnątrz?

— Tak. Policja zajęła się tą sprawą gorliwie. Przeszukano już najdokładniej cały ogród.

— No, mój panie — rzekł Holmes — zobaczy pan wkrótce, że cała sprawa nie przedstawia się tak jasno, jak się to zrazu wydało panu i policyi. Wypadek ten jest w oczach pana bardzo prosty, dla mnie zaś jest bardzo zawikłany. Pomyśl pan tylko, jak wygląda pańskie zapatrywanie. Przypuszcza pan, że syn wyszedł ze swego pokoju, odłamał kawałeczek dyademu, udał się na jakieś trzecie miejsce, ukrył kamiki tak, że nikt ich odnaleźć nie może, a z pozostałymi trzydziestoma sześcioma wrócił do pokoju, wiedząc, że jest to rzeczą bardzo niebezpieczną, gdyż może w każdej chwili zostać od-

krytym. Proszę mi powiedzieć — czy takie zapatrywanie wywołuje jakąkolwiek krytykę?

— A więc cóżby innego można przypuścić? — zawołał bankier z rozpaczą. Dlaczego nic nie mówi, jeśli nie miał złych zamiarów?

— Wyjaśnić to jest naszą rzeczą — odrzekł Holmes. Jeśli to panu nie przeszkadza, możebyśmy zaraz pojechali na Streat-ham. Poświęćmy jeszcze jedną godzinę na dokładniejsze rozpatrzenie się w tej sprawie.

Przyjaciel mój uparł się, abym także jechał, do czego zresztą sam miałem ochotę, gdyż opowiadanie bankiera zaciekało mnie bardzo. Przyznam się, że i mnie wina młodego człowieka wydawała się tak niewątpliwą jak i jego ojcu, mimo tego jednak tak wierzyłem w sąd Holmesa, że byłem pewny, iż w sprawie tej dotąd nie należy tracić nadziei, dopóki Holmes nie będzie zupełnie zadowolony ze swoich badań. W drodze przyjaciel mój nic nie mówił, lecz siedział pogrążony w głębokiej zadumie, pochyliwszy głowę na piersi i spuściwszy kapelusz głęboko na czoło. Bankier zaś wobec słabego błysku

nadziei, którą mu okazano, był jakby odrodzony do tego stopnia, że dla rozrywki opowiadał mi obojętne sprawy, odnoszące się do jego interesów. Po krótkiej podróży koleją i jeszcze krótszej drodze pieszej dostaliśmy się do Fairbank, skromnej siedziby bogatego finansisty.

Był to budynek z białego kamienia ciosowego, czworoboczny i posunięty nieco w tył ulicy. Od frontu prowadziły dwie szerokie drogi, które od strony ulicy zamknięte były wielkimi zakratowanymi bramami, zaś w środku tworzyły obszerny, wolny plac, obecnie pokryty śniegiem. Na prawo znajdował się mały gaik, przez który można się było dostać na wąską ścieżkę, ciągnącą się wśród dwóch ładnych szpalerów od gościńca do kuchni. Na lewo, a mianowicie już poza domem biegła droga, prowadząca do stajen i służąca niekiedy do przejazdu. Holmes zostawił nas przed drzwiami, a sam powoli obszedł cały dom w około; przeszedł tam i napowrót wzdłuż frontu, dalej drogą prowadzącą do kuchni, a w końcu przeszedłszy tylną stronę przez ogród dostał się na drogę do stajen. Tu zatrzymał się tak długo, że nie

mogliśmy już dalej oczekiwać go na dworze, lecz udaliśmy się do jadalni, gdzie usiadłszy przy kominku wyglądaliśmy jego powrotu. Gdy tak siedzieliśmy obaj w milczeniu, otwarły się nagle drzwi i do pokoju weszła młoda kobieta. Była średniego wzrostu, smukła, czarnowłosa i czarnooka, co podnosiło jeszcze bladość jej cery. Zdaje mi się, że w całym moim życiu nie widziałem nigdy tak śmiertelnie bladej twarzy. Wargi jej były również bezkrwiste, zaś oczy zaczerwienione od płaczu. Gdy tak w milczeniu wsunęła się do pokoju, zrobiła na mnie wrażenie bardziej jeszcze zmartwionej niż bankier. Było to bardzo uderzające, gdyż poznałem zaraz, że była to kobieta o silnym charakterze i nadzwyczajnej zdolności panowania nad sobą. Nie zważając na mnie, przystąpiła do stryja i gładząc go delikatnie po twarzy, zapytała?

— Prawda ojczulku, że poleciłeś, aby Artura wypuszczono?

— Nie moje dziecko, najpierw musi być cała sprawa dokładnie wyjaśniona.

— Ale jestem pewna, że Artur jest niewinnym. Moje uczucie mnie nie myli.



Wiem, że nie popełniłby on nic nieuczciwego i będzie ci jeszcze bardzo przykro, że z nim obeszłaś się tak surowo.

— Dlaczego więc nic nie mówi, jeśli jest niewinnym?

— Któż to wie dlaczego? Może z gniewu, że go posądziłaś o kradzież.

— Czyż mógłbym go nie posądzić, skoro na własne oczy widziałem klejnot w jego rękach?

— Może go tylko chciał oglądnąć. Wierzaj mi ojczulku, że Artur jest niewinnym. Zostaw tę sprawę w spokoju i nie mów o niej więcej. Jest to dla mnie tak straszne, wyobrazić sobie Artura w więzieniu!

— Nie mogę zostawić tej sprawy w spokoju, dopóki kamienie się nie znajdą. Twoje przywiązanie do Artura zaślepią cię i nie da osądzić strasznych skutków, jakie ta sprawa pociąga za sobą. Daleki od myśli, aby zataić kradzież, sprowadziłem tu pewnego pana z Londynu, który się gorliwie zajmie śledztwem.

— Tego pana? — zapytała, zwracając się do mnie.

— Nie, jego przyjaciela. Życzył on sobie, abyśmy go zostawili samego. Jest właśnie koło stajen.

— Koło stajen? zapytała, podniosłszy w górę swe ciemne brwi. A czegoż on tam szuka? — Ach to pewno on? — Spodziewam się, — rzekła, zwracając się do wchodzącego Holmesa, że pan zdołasz wykazać niewinność mojego kuzyna Artura, o której jestem najzupełniej przekonana.

— Podzielam najzupełniej przekonanie pani i spodziewam się, wkrótce pozyskać potrzebne na to dowody — odparł Holmes, otrzepując śnieg z nóg. Zapewne mam zaszczyt mówić z panną Mary Holder? Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

— Naturalnie, jeżeli tylko mogą się przyczynić do wyjaśnienia tego straszego wypadku.

— Czy zeszłej nocy nic pani nie słyszała?

— Nic, aż do chwili, gdy stryj począł mówić głośno. To usłyszałam i natychmiast zesłam na dół.

— Poprzedniego wieczoru zamykała pa-

ni drzwi i okna. Czy zamknęła wszystko dobrze?

— Tak.

— A rano było także wszystko dobrze zamknięte.

— Zupełnie.

— Podobno jedna ze służących państwa ma kochanka? O ile wiem zwracała pani wczoraj wieczorem uwagę stryja, na to że wyszła ona z domu na schadzke z nim.

— Tak; jest to właśnie ta dziewczyna, która usługiwała nam do stołu i prawdopodobnie słyszała opowiadanie stryja o klejnocie.

— A więc przypuszcza pani, że porozumiała się ona ze swoim kochankiem i oboje popełnili tę kradzież?

— Ależ po co te wszystkie przypuszczenia — przerwał niecierpliwie bankier — wszak mówię panu, że widziałem klejnot w rękach Artura.

— Proszę o trochę cierpliwości panie Holder, wrócimy jeszcze do tego punktu. — Co do owej dziewczyny, to widziała pani, gdy wracała do kuchni?

— Tak. Weszła właśnie wtedy, gdy obchodziłam dom, aby się przekonać, czy wszystko pozamykane. Zauważyłam też na dworze mężczyznę.

— Zna go pani?

— Tak; jest to handlarz warzywem, który zaopatruje naszą kuchnię. Nazywa się Franciszek Prosper.

— Stał on — ciągnął dalej Holmes, na lewo od drzwi; nieco niżej, przy płocie?

— Rzeczywiście.

— I ma jedną nogę na szczudle?

Coś w rodzaju trwogi zabłysło w wyrazistych oczach panny Holder.

— Jest pan prawdziwym czarodziejem — rzekła; skąd pan wie o tem? To mówiąc, uśmiechnęła się; ale na szczupłej, ostro zarysowanej twarzy Holmesa, uśmiech jej nie znalazł odpowiedzi.

— Teraz pragnąłbym bardzo pójść na piętro. Później obejdę raz jeszcze dom. Zresztą będzie może lepiej, gdy obejrzę wpród okna tu na dole.

Szybko przechodził od jednego okna do drugiego, wreszcie zatrzymał się dłużej przy

wielkiem oknie, prowadzącym z korytarza na ową uliczkę z tylnej strony budynku. Otworzywszy je, badał starannie futrynę przez szkło powiększające.

— Teraz możemy pójść na górę — rzekł wreszcie.

Ubieralnia bankiera była mała i urządzona skromnie; na podłodze leżał szary dywan, z boku stało wielkie biurko, w pobliżu wysokie zwierciadło. Holmes zbliżył się najpierw do biurka i zabrał się do badania zamku.

— Którym kluczem otworzono? — zapytał.

— Tym od bufetu na dole, o którym syn wspominał.

— Czy go pan ma tutaj?

— Tak; leży na stole toaletowym.

Holmes wzięwszy wskazany klucz, otworzył nim zamek.

— Odmyka cicho. Nic dziwnego, że się pan nie obudził. W tem tutaj etui znajduje się pewno klejnot? Musimy go oglądnąć.

Otworzył etui, wyjąwszy dyadem, położył go na stole. Było to arcydzieło sztuki złotniczej; kamienie, które go zdobiły, były

najpiękniejszemi, jakie kiedykolwiek widziałem. Na jednym końcu odłamano kawałek; brakowało jednego zęba z trzema berylami.

— No, panie Holder — rzekł Holmes — oto jest inny ząb zupełnie odpowiadający temu, który zniknął w tak smutny sposób. Czy mógłbym prosić, aby go pan odłamał?

Przerażony bankier cofnął się krok wstecz.

— Nie mógłbym się odważyć spróbować coś podobnego — odpowiedział.

— A więc ja to zrobię — rzekł Holmes — i wytężywszy wszystkie siły, usiłował odłamać mały kawałeczek złota. Wysiłki jego były jednak daremnymi.

— Czuję, — rzekł — że się już trochę gniewię; chociaż jednak posiadam wyjątkowo wielką siłę w palcach, potrzebowałbym sporo czasu, aby go złamać. Zwyczajny człowiek nie byłby w stanie uczynić coś podobnego.

— Nie wiem teraz, co mam myśleć o tem wszystkim — rzekł bankier. Jest to dla mnie rzecz bardzo zagadkowa.

— Z czasem stanie się ona dla pana jaśniejszą. — Cóż pani o tem myśli, panno Mary?

— Przyznam się, że i ja jestem z tego tak mądrą, jak i mój stryj.

— Czy pański syn miał na nogach jakie obuwie, gdy go pan naszedł? — pytał dalej Holmes.

— Nie; był w koszuli i w spodniach. dniach.

— Dziękuję. Śledztwo powiodło nam się rzeczywiście nadzwyczaj pomyślnie i już tylko byłoby naszą własną winą, gdyby nam się nie udało wyjaśnić sprawy. Teraz pozwoli pan, że powrócę do dalszych badań na dworze.

Pozostaliśmy wszyscy w pokoju, gdyż Holmes stanowczo życzył sobie pójść sam, twierdząc, że wszelkie niepotrzebne ślady nóg ludzkich utrudniają tylko jego zadanie. Po godzinie lub więcej wrócił, przyniósłszy na obuwiu masę śniegu; z wyrazu jego twarzy nie można było nic odgadnąć.

— Sądzę, że widziałem już wszystko, co było do zobaczenia — rzekł do Holdera — teraz pozostaje mi tylko wrócić do domu.

— Ale kamienie — panie Holmes — gdzie się one znajdują?

— Tego nie mogę jeszcze powiedzieć.

Bankier załamał ręce. — Nie zobaczę syn? Czy robi mi pan jaką nadzieję?

ich więc może już nigdy! — zawołał. A mój

— Przekonanie moje nie zmieniło się ani na jotę. Gdy pan przyjdzie do mnie jutro przed południem, między godziną dziewiątą a dziesiątą, będę już mógł udzielić panu wyjaśnień, jakie leżą w mojej mocy. Wprzód jednak wymagam, aby mi pan udzielił nieograniczonego pełnomocnictwa do działania w pańskim imieniu i wydania takiej sumy, jaką będę uważał za potrzebną.

— Dałbym cały majątek, za te kamienie!

— Dobrze; postaram się więc sprawę tę dalej wyjaśnić. Bądź pan zdrow. Być może, że jeszcze raz będę musiał tu przybyć przed wieczorem.

Poznałem, że przyjaciel mój wyrobił sobie już stanowczy pogląd na ten wypadek; z jego słów począłem już i ja sam wytwarzać sobie jakieś niejasne pojęcie o tem wszystkim. W drodze próbowałem parę ra-

zy pociągnąć go za język, Holmes jednak przechodził zaraz do innego przedmiotu tak, że w końcu dałem mu spokój. Do domu przybyliśmy przed trzecią. Holmes udał się natychmiast do swego pokoju, skąd wrócił po kilku minutach, przebrany za pospolitego tandeciarza. Podniesiony w górę kołnierz, wypełzły i wytarty surdut, czerwona chustka na szyi, znoszone obuwie — wszystko to — czyniło z niego skończony typ tandeciarza.

— Mam nadzieję, że mój plan się uda — rzekł, spoglądając do zwierciadła, umieszczonego nad kominkiem. — Chciałbym tylko, żebyś i ty Watsonie mógł pójść ze mną; — nie szłoby to jednak tak dobrze. W każdym razie wkrótce już się dowiem, czy jestem na prawdziwym, czy też na fałszywym tropie. Za parę godzin wrócę.

Włożył do kieszeni kromeczkę chleba z masłem i wyszedł.

Wypiłem właśnie herbatę, gdy wrócił w wybornym humorze, trzymając w ręce stary but wojskowy, który natychmiast rzucił do kąta. Kazał sobie podać natychmiast filiżankę herbaty i pijąc ją, rzekł do mnie:

— Wstąpiłem po drodze tylko na chwilę. Zaraz muszę iść dalej.

— Dokąd?

— Pójdę teraz w stronę zachodnią. Nie wrócę może prędko. Nie czekaj zatem do późna na mnie.

— Jak stoi sprawa?

— Dosyć dobrze. Nie mogę narzekać. Byłem znowu w Streatham, ale z nikim nie rozmawiałem. Przyjemny wypadek, którego bym za nic nie oddał! Ale nie mogę trać więcej czasu na próżną gadaninę; muszę jeszcze zrzucić z siebie to nędzne okrycie, a włożyć swoją przyzwoitą odzież.

Znając dobrze usposobienie Holmesa, wiedziałem, że musi on mieć więcej powodów do zadowolenia, niż ze słów jego mogłem się domyśleć. Oczy mu błyszczały, a na bladą zwykle twarz wystąpił teraz rumieniec. Szybko poszedł na górę i już w parę minut później usłyszałem zamykanie drzwi, co świadczyło, że Holmes poszedł już na dalsze poszukiwania. Czekałem na niego do północy, ale nadaremnie; udałem się więc na spoczynek do swojego pokoju. Często bowiem zdarzało się, że gdy chodziło o wykry-

cie śladów jakiegoś zagadkowego wypadku, Holmes przepędzał całe dni i noce po za domem. Nie dziwiły mnie zatem nigdy jego spóźniania. Nie wiem, kiedy tym razem wrócił, gdy jednak rano poszedłem na śniadanie, siedział już przy filiżance kawy i czytał gazetę. Ubrany był starannie i wyglądał zupełnie świeżo.

— Wybacz Watsonie, że nie czekałem na ciebie — rzekł — wiesz jednak, że nasz klient ma tu przyjść dzisiaj o dość wczesnej porze.

— Zdaje mi się, że ktoś zadzwonił — odpowiedziałem. Już jest po dziewiątej, nie dziwiłbym się więc, gdyby to był bankier.

I był to on rzeczywiście. Zdumiałem się, widząc zmianę, jaka w nim zaszła; jego twarz z natury szeroka, była teraz szczupła i zapadła, włosy stały się bielsze o jeden odcień. Wszedł z wyrazem zmęczenia i zubożenia, i czynił jeszcze więcej przygnębiające wrażenie niż wczoraj. Usiadłszy w fotelu, który mu podsunąłem, zaczął:

— Nie wiem, czem zasłużyłem na te ciężkie ciosy. Jeszcze przed dwoma dniami byłem człowiekiem szczęśliwym i bez naj-

mniejszej troski; dziś stoję wobec starości samotnej i hańbiącej. Cios po ciosie spada na mnie. Opuściła mnie moja synowica Mary.

— Opuściła pana?

— Tak. Dziś rano znaleziono jej łóżko nietknięte, pokój próżny, a na stole w salonie leżał list do mnie. Wczoraj wieczorem powiedziałem jej — nie ze złości, lecz pod wpływem mego zmartwienia — że gdyby była zaślubiła Artura, nie byłoby może dzisiaj przyszło do tego nieszczęścia. Była to wielka nieostrożność z mej strony. Napisała mi to w tym liście. Brzmi on: Najdroższy Stryju! Czuję, że cię bardzo zmartwiłam i gdybym była inaczej postępowała, nie byłoby może nigdy przyszło do tego straszego nieszczęścia. Z tem uczuciem w sercu nie mogę nadal pozostać pod twoim dachem i muszę Cię na zawsze opuścić; nie troszcz się o moją przyszłość, gdyż ta jest zapewniona; przedewszystkiem nie dowiaduj się i nie poszukuj mnie; byłby to zresztą daremny trud i zła przysługa. Zostaję do śmierci kochająca Cię, Mary.

— Jak pan myśli, co ten list może znaczyć? Czy może Mary odebrała sobie życie?

— Nie, nie; ani na chwilę tak nie przypuszczam. Zdaje się, że to, co zrobiła, jest najlepsze. Teraz już skończą się pańskie strapienia.

— Co pan mówi? Czy pan co słyszał, czy pan coś wie? Gdzie są kamienie?

— Czy nie za wysoką wydawać się panu będzie cena tysiąca funtów za jeden?

— Ależ dam dziesięć razy tyle!

— Tak dużo nie trzeba. Trzy tysiące wystarczy. Prócz tego rozumie się jeszcze jakieś małe wynagrodzenie dla mnie. Czy ma pan przy sobie książkę czekową? Oto jest pióro; proszę, napisz pan cztery tysiące funtów.

Zdumiony bankier podpisał żądany czek. Wtedy Holmes przystąpił do biurka, wyjął z niego trójkątny kawałeczek złota z trzema kamieniami i rzucił go na stół.

Bankier z okrzykiem radości pochwycił go natychmiast.

— Ma pan! — wyszeptał. Jestem uratowany, jestem uratowany!

Radość swoją okazywał teraz tak gwałtownie, jak poprzednio swą boleść; odnalezione kamienie przyciskał gorąco do piersi.

— Jeszcze jeden dług ma pan do zapłacenia — zauważył poważnie Holmes.

— Dług jeszcze jeden? To mówiąc chwycił za pióro. Proszę, wymień pan tylko sumę, którą mam wypłacić!

— Nie. Dług nie dotyczy mnie. Syna swojego powinien pan pokornie przeprosić. Wielkoduszny młodzieniec postąpił sobie w całej tej sprawie tak dzielnie, że dumny byłbym, gdybym miał podobnego syna.

— A więc Artur nie jest złodziejem?

— Nie; jak to już zresztą powiedziałem panu wczoraj.

— Wie pan to na pewno? Chodźmy zatem zaraz do niego, aby mu oznajmić, że już znamy prawdziwy stan rzeczy.

— On już wie wszystko. Skoro tylko wyjaśniłem całą sprawę, udałem się do niego. Ponieważ nie chciał mi opowiedzieć całego przebiegu, uczyniłem to sam.

Potem nie mógł mi już zaprzeczać, a przekonawszy się, że znam w zupełności prawdę, wyjaśnił mi ze swej strony jeszcze

kilka szczegółów, które były dla mnie dotąd niezrozumiałemi. Nowina, którą pan dzisiaj przyniósł, otworzy mu pewno zupełnie usta.

— Ależ na Boga, wyjaśnij mi raz pan tę niepojętą zagadkę!

— Owszem; opowiem panu również jakie kroki poczyniłem, celem jej rozwiązania. Przedewszystkiem jednak muszę panu oznajmić, rzecz dla mnie najbardziej przykrą do wypowiedzenia, a dla pana najboleśniejszą, a mianowicie, że bratanica panna, Mary, działała w porozumieniu z Sir Jerzym Burnwellem. Teraz oboje umknęli.

— Moja Mary — to niemożliwe!

— Jest niestety nietylko możliwe, lecz pewne. Ani pan, ani syn pański nie znał prawdziwego charakteru tego człowieka, którego przyjmowaliście w swym domu. Jest to jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w całej Anglii, podupadły karciarz, ostatni oszust, człowiek bez serca i sumienia. Pańska bratanica nie miała wyobrażenia, że istnieją na świecie tego rodzaju ludzie. Gdy szeptał jej przysięgi miłosne, jak to już przedtem czynił stu innym, wierzyła, że jest jedyną kobietą, posiadającą jego serce. Dyabeł wie,

jak to potrafił, ale doprowadził do tego, że stała się powolnem narzędziem jego woli i prawie każdego wieczora z nim się schodziła.

— Nie mogę i nie chcę w to uwierzyć — zawołał bankier, zbladłszy mocno.

— A zatem opowiem panu, co działo się przedostatniej nocy w domu pańskim. Gdy panna Mary przekonała się, że pan odszedł do swego pokoju, zeszła na dół i przez okno, które wychodzi z korytarza na drogę do stajen, rozmawiała ze swoim kochankiem. Ślady jego stóp odcisnęły się wyraźnie na śniegu. Opowiadała mu o klejnocie. Ta wiadomość zapaliła w nim niegodziwe uczucie chciwości; postanowił wyzyskać jej miłość dla swoich planów. Nie wątpię w przywiązanie panny Mary do pana, są jednak kobiety, które obok przywiązania do swego ukochanego, potrafią kochać równie silnie kogoś innego i należą one najzupełniej do wybranych swojego serca. Zaledwie Burnwell udzielił jej potrzebnych wskazówek co do dalszego działania, gdy na schodach ukazał się pan; panna Mary zamknęła prędko okno i opowiedziała panu historię o owej pokojówce, która istotnie wyszła wieczorem do swego



wielbiciela, chodzącego na szczudle, dostawcy jarzyn.

Syn pański zaś po owej przykrej rozmowie udał się na spoczynek; nie mógł jednak zasnąć z powodu troski, w jaki sposób zapłaci dług w klubie. W nocy usłyszał, że ktoś idzie cichutko koło drzwi jego sypialni. Wstał więc, wyglądając na korytarz i ujrzał swoją kuzynkę wchodzącą ukradkiem do pańskiej ubieralni. Zdumiony włożył tylko najniezbędniejszą część ubrania i oczekiwał w ciemności na dalszy ciąg tej osobliwej sprawy **Wkrótce wyszła z pokoju** panna Mary, a w jej ręku spostrzegł syn pański przy blasku korytarzowej lampy, kosztowny klejnot. Gdy zeszła na dół, udał się również za nią, drżąc z przerażenia i ukrywając się w portyerze przy drzwiach jej pokoju, był świadkiem tego, co się następnie działo. Widział, że otworzyła cichaczem okno i podała klejnot komuś, stojącemu w ciemności; następnie okno zamknęła i spieszenie wróciła do swej sypialni, przechodząc tuż obok kryjówki pańskiego syna.

Ten nie mógł zdradzić swej obecności, gdyż to naraziłoby na najstraszniejszą przy-

krość dziewczynę, którą kochał. Skoro jednak zniknęła, stanęło mu jasno przed oczami co za okropne nieszczęście mogłoby wskutek tego powstać dla pana i jak niezmiernie ważną rzeczą jest odebranie tego klejnotu. A więc bosy, jak stał, pobiegł do okna, otworzył je i wyskoczył na śnieg; na drodze prowadzącej do stajen spostrzegł w blasku księżycy jakąś ciemną postać. Był to Sir Jerzy, który usiłował umknąć; jednak Artur dopędził go i począł się z nim mocować, przy czem obaj wydzierali sobie dyadem; syn pański chwycił za jeden koniec, tamten za drugi. Nagle trząsnęło i dyadem został w ręku pana Artura. Natychmiast wrócił do domu, zamknął okno i udał się do pańskiej ubieralni.

Tu zauważył, że w walce pogiął się klejnot. Właśnie gdy próbował go wyprostować, zjawił się pan.

— Czy to możliwe? — jęknął bankier.

-- Teraz popadł pan w szalony gniew i obrzucił syna wszelkimi możliwymi obelgami, a to właśnie wtedy, gdy on czuł, że zasłużył na najgorętsze podziękowanie ze strony pana. Prawdziwego stanu rzeczy nie

mógł odkryć ze względu na kobietę, która prawdę mówiąc na tak wielki wzgląd z jego strony wcale nie zasłużyła. Zachował się jednak po rycersku i nie zdradził tajemnicy.

— Ach, stąd więc jej przerażenie i zemdlenie na widok dyademu! — zawołał Holder. Boże, jakim byłem ślepym głupcem! Teraz rozumiem jego prośbę, aby mógł wyjść przed dom na pięć minut! Kochany chłopak chciał zobaczyć, czy brakującego kawałeczka nie znajdzie na placu walki. Jakże okrutnym okazałem się wobec niego, jakże się na nim nie poznałem!

— Zaraz po swoim przybyciu — ciągnął dalej Holmes, — obeszłem cały dom w około, aby szukać na śniegu śladów, które miałyby dla mnie jaką wartość. Wiedziałem, że od przedwczorajszego wieczora nie było śniegu i że dzięki silnemu mrozowi odciski stóp zachowały się niezmienione. Poszedłem za śladem pańskiego dostawcy; wszystko było jednak tak stłoczone, że nie zdołałem nic rozpoznać. Tylko powyżej wejścia do kuchni spostrzegłem ślady stóp kobiecych; stała ona widocznie przy jakimś mężczyźnie, który opierał się na szczudle, cze-

go dowodziły okrągłe odciski w śniegu. Można też było łatwo rozpoznać, że im przeszkodzono, gdyż kobieta biegła szybko do drzwi, czego dowodziły lekkie odciski końca stopy w przeciwieństwie do silnych odcisków pięty; mężczyzna na szczudle stał jeszcze chwilę, następnie i on się oddalił. Pomyślałem sobie zaraz, że była to pokojówka, Lucy, o której mi pan już mówił, a potwierdziły to również dalsze moje badania. Na drodze do ogrodu zauważyłem także liczne, bezładne, krzyżujące się ślady stóp i przypuszczałem, że powstały one wskutek bieganiny policyi. Gdy jednak stanąłem na drodze do stajen, wyczytałem na śniegu całą, długą, zamkniętą historię.

Był tu podwójny rząd śladów obuwi męskiego, jako też podwójne odciski, które — ku wielkiej mojej radości — pochodziły od bosych nóg innego mężczyzny. Sądząc według opowiadania pańskiego, byłem pewny, że mężczyzną tym musiał być syn pana. Pierwszy mężczyzna siedł tam i napowrót, drugi biegł szybko i najwidoczniejszą rzeczą było, że ścigał tamtego. Idąc za tymi śladami, przekonałem się, że prowadziły one

do okna na korytarzu, pod którym ów obuty mężczyzna musiał stać długo, bo śnieg był tu zupełnie udeptany. Następnie zaprowadziły mnie ślady te na inne miejsce, oddalone może o sto łokci od pierwszego; było to na drodze do stajen. W tem miejscu człowiek w obuwiu widocznie się zatrzymał, a rozrzucony śnieg świadczył, że odbyła się tutaj jakaś walka; przypuszczenie to potwierdziła i ta okoliczność, że na śniegu widać było kilka kropli krwi. Obuty pobiegł następnie szybko ścieżką dalej, a drugi, mały znak krwawy, wskazywał, że on to właśnie był zranionym. Na ulicy ginęły już wszelkie ślady, gdyż była tu odmieciona szeroka ścieżka dla przechodniów.

Po powrocie do domu badałem przez szkło powiększające — jak sobie pan pewno przypomina — gzyms i futryny okna na korytarzu i zaraz poznałem, że ktoś przez nie wyskakiwał. Następnie zdołałem też odróżnić ślad wilgotnej nogi, pozostawiony przy powrocie. Teraz byłem już w stanie wytworzyć sobie dokładny i pewny pogląd na zajście. Pod oknem czekał mężczyzna, któremu podał ktoś klejnot; syn pański to widział,

dopędził złodzieja i rozpoczęła się między oboma walka, przyczem obaj wydzierali sobie dyadem i w ten sposób go uszkodzili; siła pojedynczego człowieka byłaby do tego niewystarczającą. Syn pański zwyciężył, ale w ręce przeciwnika został odłamany kawałeczek klejnotu. Tyle wiedziałem na pewno. Teraz należało sobie odpowiedzieć na pytanie, kto był uciekający i kto mu wyniósł dyadem?

Stara zasada, jakiej zwykle się trzymam w takich razach, jest następująca: Po wykluczeniu wszystkich niemożliwości musi tkwić prawda w tem, co jeszcze pozostało, choćby to było nie wiedzieć jak nieprawdopodobne. Wiedziałem przecież, że pan nie wyniósł klejnotu, została więc tylko bratani-ca pana i służące. Gdyby jednak była to któraś ze służących, dlaczego syn pański przyjmowałby winę na siebie? Nie mogłem znaleźć żadnego powodu do takiego postępowania. Kochał on jednak swoją kuzynkę i w tym fakcie leżało wyborne wyjaśnienie jego zachowania się; strzegł jej tajemnicy tem więcej jeszcze, że była to tajemnica ją hańbiąca. Gdy do tego wszystkiego rozważy-

łem, że widział pan swą bratanicę przy owem oknie i że na widok klejnotu zemdłała, moje przypuszczenia stały się już pewnością.

A teraz — kim był człowiek, z którym się porozumiewała? Widocznie jej kochankiem, gdyż dla niego tylko mogła ona zapomnieć o wdzięczności i miłości, jaką winna panu. Wiedziałem, że pan mało bywał w towarzystwie i że koło pańskich znajomych było dość szczupłe. Jednak do tych ostatnich należał sir Jerzy Burnwell. Dawniej już słyszałem, że miał on wielkie szczęście do kobiet. Od niego musiały więc pochodzić owe ślady stóp i on posiada kamienie. Mimo tego, że Artur go poznał, miał nadzieję, że go nie zdradzi, gdyż nie będzie chciał tem samem zniesławić własną rodzinę, to jest swą kuzynkę.

Teraz odgadnie pan łatwo, jakie kroki poczyniłem, aby odebrać odłamany kawałek dyademu. Przebrany za tandeciarza, udałem się do mieszkania sir Jerzego, zaznajomiłem się z jego służbą, od której dowiedziałem się, że pan poprzedniego wieczoru zranił się w głowę. Za cenę sześciu szylingów dowiedziałem się następnie całej praw-

dy. Mianowicie kupiłem parę jego znoszonych butów i zabrawszy je z sobą do Streatham, przekonałem się, że najzupełniej odpowiadają im ślady na śniegu.

— W istocie zauważyłem wczoraj przed domem jakiegoś włóczęgę w podartej odzieży — wtrącił pan Holder.

— To właśnie ja byłem. Skoro upewniłem się co do tożsamości osoby, wróciłem do domu, aby się przebrać. Czekano mnie teraz bardzo trudne zadanie. Dla uniknięcia rozgłosu należało porzucić dalsze dochodzenia w tej sprawie, a czułem, że taki wyrafinowany łotr, natychmiast pozna, iż mamy ręce związane. Udałem się jednak do niego. Z początku zaprzeczył wszystkiemu, Gdy jednak opowiedziałem mu wszelkie szczegóły zdarzenia, porwał gwałtownie ze ściany rewolwer. Znałem go jednak nadto dobrze, to też zanim jeszcze wymierzył, przyłożyłem mu do czoła pistolet. Teraz stał się nieco rozsądniejszym. Oświadczyłem mu, że jesteśmy gotowi odkupić kamienie po tysiąc funtów za sztukę. To oświadczenie wywołało u niego okrzyk żalu. — “Do wszystkich djabłów” — zaklął — “a ja sprzedałem je wszy-

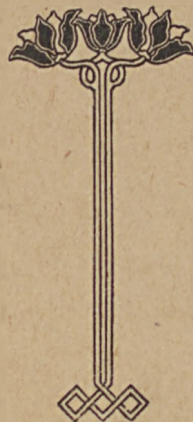
stkie za sześćset funtów!” W zamian za przyrzeczenie, że zaniechamy wszelkiego dochodzenia tej sprawy, otrzymałem od niego adres kupca. Udałem się tam zaraz i po długich targach odkupiłem beryle po tysiąc funtów za każdy. Następnie widziałem się z synem pańskim, któremu oznajmiłem, że już wszystko jest w porządku. Nakoniec koło godziny drugiej położyłem się, aby spocząć po całodziennej pracy, którą słusznie nazwać mogę ciężką.

— Przez nią oszczędziłeś pan swej ojczyźnie wielkiego kłopotu — rzekł bankier, podnosząc się z miejsca. Brak mi słów — dodał — aby panu należycie wyrazić moje podziękowanie. Działalność pańska nie może pozostać bez nagrody. O podobnej bystrości nie słyszałem jeszcze nigdy. Teraz jednak muszę spieszyć do mojego kochanego chłopaka, aby go przeprosić za krzywdę, jaką mu wyrządziłem. Postępowanie Mary dotyka mnie do głębi duszy. Czy byłoby to możliwem dla pana powiedzieć mi, gdzie ona się w tej chwili znajduje?

— O, mogę śmiało twierdzić — odparł Holmes — że znajduje się ona tam, gdzie sir

Jerzy Burnwell. Ale jakkolwiek wielką jest jej wina, kara, która ją z pewnością za to spotka, będzie więcej niż wystarczającą pokutą za wszystkie grzechy.

KONIEC.





WALTER S. NEDHANSER  
ATTORNEY-AT-LAW